DWA USTĘPY Z ŻYCIA
KEANA
SŁAWNEGO AKTORA ANGIELSKIEGO.
(z francuzkiego S. Bouchardy).

I.

W pewnéj karczmie w okolicach Manszester, trzech mężczyzn, młoda kobiéta i dzieci otaczali stół, i jedli wieczerzę.

Z ich szczególnéj postawy dziwacznéj i otwartéj, mowy jużto raz ociężałéj, to znów dowcipnéj, z ich ubioru bez żadnego związku, z natury ich rupieci które się składały z kilku instrumentów i z zawiniątka rzeczy, łatwo było przewidzieć, że to byli komedyanci, których całém pomieszkaniem są karczmy, sąsiednie miejsca, w których budują swój ruchomy teatr, tacy których życie jest tylko długą komedyą. Nieszczęśliwi artyści, którzy tylko żyją od dnia do dnia, filozofi, zuchwali, cierpliwi, zmieniający w jednym dniu swoje zamieszkanie, ubiór i majątek, a którzy po większéj części, nie oddaliby swego życia niepewnego i pracowitego za byt jednostajny i łatwy jakiego głupca, co tylko ciągle siedzi i dobrze się żywi.

Skoro tylko jest pogoda, ich teatr, złożony z gałganów wychodzi z wózka, który ciągnie koń równie chudy jak jego woźnica. Piérwszy kochanek wbija kołki, kochanka zszywa sztukę płótna, a naczelnik truppy odświéża dekoracye gąbką i świéżą wodą ze studni; zdrajca zapala kinkiety, co się palą i kopcą zarazem, a dzieci ubiérają się po rzymsku, dla wyjścia za żołniérzy nieodbicie potrzebnych w dramach wszystkich czasów. Zokris bije w tamburyn przede drzwiami i skacze, wywija figle, publiczność przybywa, klarynet i tołumbas powołują ją wewnątrz; wchodzi, kortyna się podnosi, a kompania dokładając wszelkiego starania na deskach nędznie z sobą połączonych, odgrywa dramę lub komedyą przed kolacyą.

Lecz jeśli deszcz padał dzień cały, gdy publiczność pozamykała okna, aby wilgoć niedostała się do niéj, teatr zostaje na wozie, osłonięty tylko gęstém pokryciem, kostiumy z papiéru złotego i perkalu, to prawda, lubo są zawsze noszone przez aktorów niepłatnych, lecz pod surdutem białym, lub bluzą.

Dzień upływa na przeklinaniu deszczu, bo on, co był całą nadzieją dochodu, wcale nie był potrzebny dla zapełnienia nieubłaganych żołądków ciągle trawiących. Cierpliwym można być dzień cały, lecz w wieczór trzeba wieczerzać, jakkolwiekbądź.

Gdy niebo jest pogodne, komedya zaczyna się o 5 godzinie, wieczerza o 10; gdy zaś jest pochmurne, wieczerza o 10, a komedya o 11; bo godzina widowiska zmienia się jak igła magnesowa, lecz godzina wieczerzy nigdy.

Tego dnia burza wybuchła po południu i trwała jeszcze; dziesiąta wieczorna wybiła, wieczerzano, a drama lub komedya miała się zacząć.

Stary Żak Bob, dyrektor, reżysser, kontroller, dekorator i klarnecista kompanii, podniósł kołnierz swego surduta aż nad uszy, wcisnął swój szary kapelusz na oczy, i chodził smutnie w koło stołu; niekiedy wymknęło się mu westchnienie, które nie było zwyczajném dla niego. — Na Boga, mester Bob, odezwie się Tom Kowe, jakże masz smutną postać dzisiejszego wieczora; bezpotrzebnie drzesz moje czerwone buty chodząc i wzdychając.... — Daléj Bob, mój stary kolego, rzeknie Żakson, medzobas kompanii, puding się zbliża; Tom Kowe pożera pełną gębą, twoja część może się mu łatwo przemknąć przez gardło, a że bardzo rzadko śniadamy, nieroztropną więc byłoby rzeczą, położyć się spać wcale bez jedzenia; zaprzestań więc téj pantominy i pójdź wieczerzać. — Niegłodny jestem, odpowié z goryczą Żak Bob, potém wyciągnął machinalnie rękę, dla wzięcia cynowego dzbana, lecz nagle ją cofnął jak gdyby się sparzył ujmując za jego ucho. — Nie mam i pragnienia, rzekł daléj z nieukontentowaniem; poczém westchnął głęboko.

Tu znów Tom Kowe zawołał: w saméj rzeczy, moi panowie, źle czynimy że zalewamy się wodą, bo tego wieczora piwo nie będzie nas drożéj kosztowało jak woda. — Roztropność, Tom Kowe, odezwie się Żakson, jutro czas będzie piękny i przychód także; jutro i wieczerza lepszą będzie, pamiętajcie na to, że gospodarz niekiedy kredytuje kiedy się tylko jadło jego puding z przeszłego tygodnia, a piło się wodę ze studni; lecz zawsze jest nieprzystępny, gdy piwu jego każem musować, i gołębie zarzynać. — Żakson ma słuszność, zawoła piérwszy kochanek, który z razu zdawał się podzielać zdanie Tom Kowa. Żakson ma słuszność; jutro wielka receta, jutro pieczone gołębie, porter, ryby z sosem ostrzygowym i poncz.

Na te wyrazy: gołębie i ryby z sosem, troje dzieci, które siedziały na końcu stołu, nie mogły wstrzymać wykrzyku radości. Biédne istoty, które pół twarzy miały zakryte kapeluszami męzkiemi i już w dziesiątym roku kończyły zużycie spodni swych ojców; biédne istoty mówię, ich radość nie była trwałą, bo Żak Bob, który ciągle krążył, z szkodą bótów czerwonych Tom Kowa, zatrzymał się i rzekł głosem ponurym: Jutro! Lękám się moi panowie, abyśmy nie byli zmuszeni więcéj mieć czczego powietrza w naszych żołądkach jak gołębie, które się dla nas piec miały. — A dla czegożto? odezwali się wszyscy. — Jakto! rzeknie Bob, czy nie widzicie, że nam brakuje jednego biesiadnika, i jakiego jeszcze biesiadnika! wielkie bogi!.... — Dawida! Dawida! odezwie się Betty, blondynka, która tylko co klapnęła jednego z dzieci, co zjadłszy część swoję, napadł śmiało i silnie na porcyą swego sąsiada. — Tak, Dawida, znów rzeknie Żak Bob — przyrzekł nam tylko kilka godzin zabawić u księcia Bedfort, a już od dwóch dni go niewidać; jeśli nie powróci, kto jutro grać będzie rolę Shyłoka i Arlekina? kto śpiéwać będzie *rule Britannia* z taką energią? wszak wiécie, że on jest duszą truppy naszéj. — To prawda, rzeknie Tom Kowe; lecz Dawid powróci dzisiejszego wieczora. — Nie łudźcie się, mówił daléj Bob, Dawid jest młody, wesoły, dowcipny i piękny. Książę zadowolony

jego grą w naszém przedwczorajszém wystawieniu tragiczno-lirycznem, pochlebnie go przyjął i bez wątpienia namówił, aby w jego usługach pozostał. Dawidowi sprzykrzyło się już żyć kartoflami i sypiać na słomie; Dawid przekłada kuchnią książęcą nad naszą, wygodne łóżko nad stajnią: Dawid jest niewdzięcznikiem.

I wyrzekłszy te wyrazy, Żak Bob wzniósł boleśnie ramiona, skrył nos w kołnierzu, co mu już podbródek zakrył, i wydał grobowe westchnienie. — Mester Bob rzeknie Tom Kowe, szalejesz. — Istotnie odezwie się z żywością Betty blondynka, trzeba być głupim, aby można przypuścić, że Dawid zdolnym byłby opuścić swych przyjaciół. Prawda że Dawid jest młody, wesoły, dowcipny i piękny; lecz również jest dumnym i dobrym kolegą. Dawid powróci. A potém jeśli nie przybędzie tego wieczora, obowiązuję się pójść jutro rano równo ze świtem szukać go u księcia lub księżnéj; mniéj to mnie obchodzi, i przyrzekam go wam przyprowadzić. — Betty łagodna powstała z uniesieniem kończąc ten frazes, lecz zaraz się postrzegła, że odkryła swą miłość dla Dawida; zawstydzona, spuściła skromnie oczy, wybełkotała kilka wyrazów bez związku, i zaczęła pieścić dziécię, które miało na swych policzkach jeszcze znaczny ślad jéj pięciu pięknych paluszków.

Szkot, piérwszy kochanek, już się zabiérał do wyśmiania jéj z przekorą i delikatnością, gdy w tém oberżysta wszedł z regestrem należności, żądając półtrzecia szelinga. Szkot trefniś osądził za rzecz rozsądniejszą zamilknąć, aby nieprzeszkodzić Żakowi Bob, który przez czas długi rozważając rachunek przez lorynetkę, miał zacząć obszerną rozprawę z niecierpliwym kucharzem, gdy wtém Dawid wszedł raptem wołając: brawo, koledzy! jeszcze jesteście przy stole; obawiałem się, abym nie był zmuszony sam wieczerzać. — Otoż i Dawid; byłam pewna że on powróci tego wieczora. — I my także, odezwali się inni. — I ja również myślałem, rzeknie Żak Bob pieszczotliwym głosem. — Tak, moi przyjaciele, odezwie się Dawid, otoż jestem. Miałem niezawodnie być dzisiaj rano, lecz gdy pogoda się zmieniła, pomyślałem, że widowisko będzie odłożone, zostałem więc u księcia, aby zabawić jego towarzy-

stwo. Odegrałem cały mój repertoar, śmiészyłem i do łez przywodziłem; mam próżny żołądek tak jak wasze talerze, chcę więc wieczerzać. Daléj panie gospodarzu, daj mi pieczeni, bułek i porteru! — Potém rzucił pieniądz, rzekłszy: porteru, czy rozumiesz mnie? ale najlepszego, dla całego towarzystwa. — Gospodarz wziął piéniądz i stał się nadskakującym, Żak Bob odłożył swoję przemowę na inny czas, opuściwszy kołnierz swego surduta, z oczami wesołemi, zabrał nareszcie miejsce przy stole, z wielkiém zadowoleniem Tom Kowa, który nie mógł jeszcze zapomnieć, że nogi Żaka Bob dotąd siedzą w jego bótach czerwonych.

Biédni aktorowie, wyjąwszy Boba, sądzili że wieczerzali, lecz zapach rostbefu przyniesionego, okrutnie wywiódł ich z tego błędnego mniemania; ten zapach tak wszystkich silnie ogarnął, że utracili mowę; same tylko ich oczy były w ruchu, śledząc każde poruszenie kąska przechodzącego kolejno z talerza, na koniec widelca, a z widelca w usta zbyt szczęśliwego Dawida.

Dawid to spostrzegł i zatrzymał się nagle. Do kata, panie gospodarzu, rzekł, dobywając ze swéj kieszeni drugą sztukę srebra, nie lubię sam jeść; daj więc tę gęś pieczoną, którą widziałem na rożnie przechodząc przez kuchnię! Moi przyjaciele zrobią mi tę przyjemność, że mi dotrzymają towarzystwa, i dla przyjaźni zjedzą drugą kolacyą.

Między przyjaciołmi nie masz żadnych ceremonij. A oni byli wszyscy przyjaciołmi. Nikt więc nie odmówił. Coza uczta! spijano *porter*, spijano *ale*, potém umysły rozgrzały się cokolwiek, zaprawiono grok i poncz, i po tysiącznych kalemburach, śmiéchach, etc. weseli aktorowie, przekonani, że istotnie wieczerzali, chcieli udać się na spoczynek; lecz Dawid, któremu się spać jeszcze niechciało, Dawid którego wapor wina orzeźwiał uczucia, żąda szampana. Na te wyrazy, wszyscy, wyjąwszy Betty blondynki, powstali przeciw temu (dobra Betty, ona piłaby szampana dla przypodobania się Dawidowi)! — Jakto! odezwie się Bob, czyś oszalał, Dawidzie? Przejedliśmy tego wieczora tyle, że przychód jutrzejszy zaledwie opłacić to zdoła, a ty chcesz szampana?..... — Mnie potrzeba szampana,

rzeknie Dawid napiły, niech mi podadzą szampana, i uderzył pięścią w stół. — Niech djabli porwą pijaka co chce koniecznie szampana, dla tego że pił za wiele ponczu, mówi Żak Bob; niech go pije kto chce, i niech płaci, kto może; co do mnie ja do tego nie chcę należyć, — Ani ja, odpowié roztropny Żakson. — Daléj, Tom Kowe, odezwie się Dawid, ci dwaj starcy zgłupieli jak Kassandrzy, zawołaj, niech nam podadzą szampana i trąćmy z sobą kieliszkami. — Nie na chęci do trącania kieliszkami, zbywa nam wszystkim, odpowié Tom Kowe, lecz dziesięć szelingów, które trzeba dać oberżyście za małą flaszeczką tego wina francuzkiego nas wstrzymuje. — Ja je zapłacę, rzeknie Dawid; oto masz pieniądze; poczém przewrócił jednę z swych kieszeni, z któréj wypadło na stół kilka sztuk pieniędzy srebrnych. — Sześć szelingów, aby dziesięć zapłacić! zawoła Bob rachmistrz, Bob który umiał rachować, dziękuję... Nie mam pragnienia, dobranoc towarzystwu, idę spać. — Dobra noc Dawidzie, odezwał się Żakson. — Niech djabli porwą głupców, rzekł z uniesieniem Dawid; jeśli te sześć szylingów nie wystarczają, mam inną monetę co nie tak cięży: poczém dobył z innéj kieszeni papierek pomięty, który rozwinął na stole, mówiąc: daléj, panie gospodarzu, oto jest banknota pięcio-gwineowa, to opłaci wino i kieliszki potłuczone; daléj! pragnę pić za pomyślność Anglii i mego łaskawego dyrektora; wolę lepiéj ten papier wydać na wino niż na lekarstwa; niech mi przyniosą za pięć gwineów szampana; potém zac..ął śpiéwać z całego gardła, ile mu tylko płuca dozwoliły. — Na widok biletu bankowego, wszyscy towarzysze Dawida osłupieli; spojrzeli po sobie z zadziwieniem pomięszaném z trwogą, dawszy sobie kilka porozumień. Żak Bob zaczął cofać się zwolna ku drzwiom i wyszedł bez hałasu. Drudzy, jakby oświeceni tą nieufnością ich dyrektora, osądzili za rzecz najroztropniejszą uczynić toż samo co on, i tak się wynieśli, że nim Dawid, zawsze śpiéwający, nalał kieliszki, już był sam. — Niech im szatan sen przerwie, zamruczał z nieukontentowaniem; mniejsza o to, ja mego przyrzeczenia dopełnię, pełne kieliszki będą próżne: poczém wypróżnił

sam wszystkie kieliszki, przewrócił butelkę na ziemię wyciągając rękę, i tak zasnął na stole.

W kilka godzin już był dzień, gdy Dawid roztworzył połowę oczu, i zdało mu się widziéć Żaka Bob; poczém znów spuścił głowę. — Daléj, Dawidzie, daléj, rzeknie poważnie Bob, nie czas teraz myśléć o spaniu. — Dla czegoż to? odpowié Dawid zmuszając się do roztwarcia oczu, i za tym drugim razem wyraźnie ujrzał swego dyrektora, który stał przed nim. — Wstań Dawidzie, rzeknie mu nieszczęśliwy Bob ze smutnym tonem, oto jest twój ubiór arlekiński, weź ten pakunek, weź się drogą przez lasek, i niech ci Bóg przebaczy i wspiéra.

Dawid nic nie rozumiał z téj mowy; starał się zebrać w swéj głowie wspomnienia, nic więc nie odpowiedział, a Bob daléj mówił. Jesteś młody, zręczny, pilny, łatwo więc sobie wszędzie zarobisz na życie, wszędzie gdzie tylko policya straci opisanie twojéj figury; lecz my, którzy nie będziemy mieli więcéj Dawida, cóż się z nami stanie?.. Ah! nieszczęśliwy! mówił Bob rozdziérającym głosem, straciłem jedenaścioro dzieci i łzy nie wylawszy, a dziś płaczę; — potém otarł oczy swoim rękawem i wyszedł mrucząc pod nosem, czego Dawid zrozumiéć nie mógł. — Zapewne, rzeknie do siebie Dawid osłupiały, stary golnął rano gorzałki i dla tego zrzędzi bo jest pijany. Jednakowoż rozwinął z ciekawością zawiniątko, które mu zostawił Żak Bob, gdy w tém ujrzał wchodzącą Betty blondynkę, okrytą płaszczem ceratowym i niosącą koszyk. — Dzień dobry Betty. Dzień dobry moja piękna! odezwał się Dawid: dla czego tak rano już ubranaś i z pakunkiem? — Abym się z tobą oddaliła, odpowié Betty. — A gdzież my razem pójdziemy? zapyta jéj Dawid powstając. — Gdzie ci się tylko zdawać będzie, odpowié Betty; powiedziałam sobie: ponieważ Dawid musi opuścić towarzystwo, ja pójdę z nim; wzięłam więc płaszcz i moje bagaże, zabiorę także i twoje, i ruszajmy w drogę. — Poczém wzięła ubior arlekiński i włożyła go w koszyk; na spodzie leżała cała jéj bielizna i tamburino. — Do gorącego piekła! odezwie się Dawid, czy ja śpię, bo nic nie rozumiem co się tu dzieje; gdzież są nasi koledzy? — W stodole, z któréj mnie

przed chwilą wypędzili, bom się opiérała twemu oddaleniu z truppy. — I dla czegoż to oni chcą mnie oddalić? — Aby z tobą nie zostali powieszeni. — A dla czegoż ja mam być powieszonym? odezwie się Dawid śmiejąc się do rozpuku. — Za kradzież, jak mówi Żak Bob. — Za kradzież? odezwie się Dawid nieco surowiéj. O jakąż to kradzież on mnie oskarża? mówił daléj zbliżając się do niéj z obawą. — Bank.... noty, odezwie się z ociąganiem Betty! — I komuż to? rzeknie Dawid przygryzając usta i marszcząc brwi, ja ukradłem ją? — Księciu Bedfort, odpowie półgłosem Betty; poczém nastąpiło długie milczenie.

Po niejakiém chodzeniu w tę i ową stronę, w największém wzruszeniu, Dawid nagle się zatrzymał i rzekł do Betty z postanowieniem, biorąc ją za rękę: Pójdź, dobra Betty; pragnę z niemi pomówić. — Będziesz się kłócił, odezwie się Betty starając się go zatrzymać. — Nie, nie, odpowie jéj Dawid z żywością; i wkrótce przeszedł po dwórku, pchnął ciężkie wrota, które się roztworzyły, zaskrzypiawszy.

Była to stodoła.

Wszyscy cofnęli się na widok Dawida, jakby przed zjawiskiem jakiéj mary. — Dla czegoż mnie unikacie? odezwie się do nich Dawid; poczém postąpił kilka kroków naprzód, a nikt mu nie odpowiedział. — Jakto! rzekł boleśnie, żem zaprzedał pot mego czoła, żem podzielił z wami wszystko złoto, które zyskałem poświęcając się sam przez dwa dni całe na widowisko ludziom, co ze mnie utworzyli dla siebie małpę czy téż błazna.... wy mnie oskarżacie o kradzież! Złodziejem mianujecie Dawida, waszego wspaniałomyślnego kolegę. Panie Bob, rzekł daléj wzmagając głos, i zbliżając się do dyrektora; udasz się ze mną natychmiast do księcia, żądam tego.... poczém zaczął poprawiać swój ubiór, trzęsąc się ze złości. — Porozumiemy się i pomówmy piérwéj z sobą cokolwiek, odezwał się Bob, nieco zmięszany. — Pójdziesz ty ze mną natychmiast czy nie? odezwał się gwałtownie Dawid; poczém pochwyciwszy Boba za kołnierz pociągnął go za sobą niechcąc nic słuchać, ku drzwiom wychodzącym na ulicę. — Daruj mi panie, zawoła oberżysta, czepiając się Dawida, który

go także schwycił za kołnierz. — Ja mniemam, młodzieńcze, żeś zapomniał czegoś. — Ja niezapominam, odpowie gwałtownie Dawid, dawszy mu tęgiego kułaka. — Przysięgam, żeś zapomniał zostawić mi banknotę, co ma być moją zapłatą za spożyte rzeczy téj nocy, rzeknie żywo gospodarz przestraszony. — Wymienię ten papier za złoto, odpowiedział zniecierpliwiony Dawid, pójdź za nami;.... poczém wyciągnął Boba i wyszedł z nim.

Towarzysze pozostali przy drzwiach, patrzyli za odchodzącemi z obawą; lecz oberżysta, najbardziéj niespokojny, wkrótce ich dogonił, ściągnął brzuch sznurami od swego fartucha, aby lżejszym był w biegu, dla uchwycenia w przypadku, gdyby ich wzięła chętka użycia nóg swoich, i krok w krok w tyle postępował za niemi. Tak przybyli wszyscy trzej do domu księcia, i mimo oporu i niegrzeczności służących, Dawid z swemi dwoma towarzyszami przeszedł pyszne apartamenta, przystąpił aż do księcia, który w łóżku jeszcze leżał, i rzekł do niego wchodząc: daruj milordzie, jeśli twój spoczynek przerywam, lecz gdy idzie o honor, i biédak ma prawo zapukać w każdéj chwili do drzwi księcia; wreszcie będę zwięzłym, i w kilku słowach skończę rzecz całą. — Książe zdziwiony nieco podniósł się ze swego posłania, a Dawid mówił daléj: — Wczoraj wieczór, milordzie, gdym opuszczał twój pałac, włożyłeś mi w rękę bilet bankowy pięcio-gwineowy, a moi koledzy zwątpiwszy o mojéj uczciwości i twojéj wspaniałomyślności oskarżają mnie żem go ukradł. — Ja ci nie dałem banknoty pięcio-gwineowéj, odpowie książę, ciekawy jak się skończy ta awantura. — Przebacz mu milordzie, rzeknie Bob błagając; młodość!.... — Milczenie Mester Bob, zawoła Dawid przerywając mu; milordzie, rzekł daléj z uniesieniem, mylisz się! oto jest bilet coś mi dał wczoraj. — Książę wyciągnął rękę bez gniéwu, wziął bilet i zaczął go pilnie uważać. — Dawid był spokojny, oberżysta czerwony z niecierpliwości, a Bob blady z przestrachu. — Tak, to jest bilet, rzecze książę, ten sam co ci go dałem, lecz omyliłem się.... ta banknota jest rzeczywiście na pięć gwineów, a ja mniemałem, że ci dałem inną na dziesięć. Lecz łatwo spro-

stować tę omyłkę, oto masz — rzęcze do Dawida wyszukawszy w swoim pugilaresie, — oto jest ta, którą ci przeznaczyłem; jest ona na dziesięć gwineów; teraz sądzę, że już nie mamy nic do siebie, a twoi koledzy zgrzeszyli przeciw tobie: bądź zdrów, daj mi spać, bo mam zwyczaj leżeć w łóżku aż do południa. — Książę się odwrócił i położył głowę na poduszce. — Niech niebo ześle waszéj książęcéj mości sny najprzyjemniejsze, rzeknie Dawid zachwycony temi odwiedzinami, poczém dawszy znak dwom drugim, aby poszli za nim, wyszedł z pokoju najpiérwszy.

Bob oniemiały chciał mówić, lecz zbrakło mu głosu; chciał się ukłonić, lecz upuścił i zostawił swój szary kapelusz; przeszedł apartament trącając się niezręcznie o wszystkie drzwi, i wyszedł z pałacu omamiony i uradowany, od niechcenia z kolką w boku, a z wielką radością w sercu. Powracając wiele rozprawiali; oberżysta, który zrazu towarzyszył Dawidowi z nieufnością i grubijaństwem, podał mu skwapliwie rękę z przymileniem aż do oberży, w któréj reszta kolegów zostawała w najokropniejszém na nich oczekiwaniu.

Opowiedziano im całe zdarzenie; Dawid, który miał znów pieniądze do podzielenia z niemi, zapomniał o ich niewdzięczności.

Betty zrzuciła swój płaszczyk, postawiła koszyk. Dawid pozostał, Betty więc także już się nie oddali; wszyscy wzięli się do śniadania z tym większym apetytem, że przestrach nocny przyśpieszył strawność wczorajszéj kolacyi.

Co za śniadanie! *God dem!* Trwało aż do wieczora. Betty była prześliczna i podchmieliła sobie; Bobowi przeszedł dzień cały, ani pomyślał o widowisku, a dzieci nasycone po raz piérwszy w życiu, usnęły wśród uczty; zapłacono hojnie oberżyście, dano jałmużnę ubogim co się zatrzymali u drzwi oberży; o ósméj godzinie położono się spać, a nazajutrz równo ze świtem, truppa starego Boba ruszyła w drogę, z kieszeniami próżnemi, sercem wesołém, prosząc Boga o pogodę.

Lecz Bóg był nieczuły na ich błagania, dzień był dżdżysty, a w wieczór wszyscy zmoczeni do nitki, wjechali do oberży, aby wieczerzać na kredyt.

W dwadzieścia lat późniéj, Dawid zmienił swój ubiór arlekina na suknie Otella, Makbeta, Hamleta i Ryszarda III, i przydał do imienia Dawida, nazwisko *Edmunda Kean* (Kin).

(*Drugi ustęp w przyszłym Numerze*).

WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKÓW FLEUREGO,

Dalszy ciąg.

II.

Wpływ kominka. — Niespodziana wizyta. — Sofa. — Kapelusz. — Chora odzyskała zdrowie. — Ja uciekam. — Miłość najlepsze daje nauki. —

Była to zachwycająca istota; niepodobna znaleźć doskonalszéj. Dowcip jéj, talenta i piękność od wszystkich odbiérały hołdy. Od niéj jedynie zależało uiścić bajkę o Danaï; lecz sposób jéj myślenia bynajmniéj z modą się nie zgadzał; najczystsza bezinteressowność towarzyszyła zawsze darowi jéj serca, i uszlachetniała go.

Wybór jéj padł na najznakomitszego z ludzi owéj epoki, zarówno urodzeniem i charakterem, na hrabię de la Touche-Tréville.

Zkądże wiedziałem o tych wszystkich szczegółach?... Niestety! odniosłem rękawiczkę pannie Clermonde.

Powabna ta aktorka wkrótce natchnęła wszystkie moje miłosne role, i stała się dla mnie przedmiotem tym mocniejszego uwielbienia, iż była piérwszą moją miłością. Ale czyż bez nadziei?... Nie. Hrabia de Tréville częste odbywał podróże: właśnie był wtedy nieobecnym.

Pewnego wieczora—było to w zimie—świéca, któréj długi knot dowodził że bynajmniéj o niéj nie myślano, objaśniała zaledwie rozkoszny pokój sypialny. Ogień rzucał chwilami, jak gdyby w kapryśnych przestankach, tę światłość drżącą i niepewną, co ruch zdaje się nadawać wszystkim sprzętom. Wielka sofa, z czasów Ludwika XV., z włóczącym się pokrowcem, zdawała się poruszać i ożywiać przed naszemi oczyma.... Nie wiem, czy każdy tego podobnie jak ja doświadczył, iż siedząc przed ogniem, tuż obok siebie, ogarnia nas potrzeba poufałości, któréj gdzieindziéj nie doznajemy;

pomimowolnie czynią się zwierzenia, wzajemne następują wyznania. Tak zimno na dworzu! Natura w całéj objawia się srogości! zdaje się chciéć rozłączać miłosne stadła. Kominek zgromadza je, połącza; kominek lubych użycza natchnień, znęca dwie istoty jedną zajmować się myślą; nieznana jakaś potęga zbliża krzesło do krzesła; ręce się łączą; następują długie milczenia, niekiedy uśmiéchy; życie znika i w jednym zatrzymuje się punkcie, jeden tylko wyraz w uchu się rozléga: miłość; jedna ogarnia pokusa: połączenie. Oh! nie wiém co musi być w samotnych lasach; lecz....

W tém zakręcono klucz w drzwiach od ulicy, szybko, śmiało, głos męzki słyszéć się daje; ktoś idzie po schodach. — To hrabia Tréville! — rzekła Clermonde przelękła i blada. — On o téj godzinie? niepodobna. — On niezawodnie! to zwykła jego zazdrość. Nie jestem występną; lecz powinnaż byłam ciebie przyjmować? Jestem zgubiona! — Co tu robić? — rzekła wchodząc stara Małgorzata, dobra kobiécina, bardzo do pani swojéj przywiązana; — co tu robić? — Ach! gdyby mi nieszło o twoje bezpieczeństwo? — rzekłem z wyrazem gniéwu i zazdrości, na który zadrżały obie kobiéty. — Przez litość! Fleury.... drogi przyjacielu.... tutaj, tutaj!....

I wskazywała mi sofę z wlokącym się pokrowcem; mężczyzna mógł się wyśmienicie pod nią ukryć: a ja byłem jeszcze dzieckiem prawie.

Wszystko to szybko i cichym powiedziane było głosem; szybciéj niżeli napisać można. Chowam się, gaśnie światło, i niewczesna wizyta wchodzi: wszystko tak prędko, jakby najbieglejszy maszynista zmieniał dekoracyą.— Cóż to? czy nie ma nikogo? jakież to przyjęcie? — zawołał hrabia głosem nieukontentowania.
— Ach! zaraz! — odpowiada Małgorzata, zapalając świécę; — przestraszyłeś nas, świéca zgasła, a moja pani.... moja pani.... patrz pan!

To co zobaczył, i ja dojrzeć mogłem, obu nas strachem przejęło. Clermonde leżała rozciągnięta na kobiercu; zdawała się gwałtowne cierpiéć spazmy.

Sądźcie o mojém udręczeniu? nie mogłem jéj ratować! Rywal mój szczęśliwszy, poskoczył ku niéj, przemawiał do niéj, tłómaczył się, starał się ją otrzeźwić.

Przyszła nieco do siebie. — A co? jakże ci jest? — zapytał hrabia. — Trochę lepiéj.... — odpowiedziała słabym głosem;....

W téj chwili oczy jéj obróciły się ku sofie, jak gdyby mnie przedewszystkiem uspokoić chciała; lecz postrzegła niedaleko mój kapelusz, który pozostał jako oskarżający świadek; spazmy porwały ją na nowo; podnosiła się, upadała; hrabia Tréville tracił głowę; Małgorzata myśląc że tą razą ma spazmy na prawdę, cała była przestraszona: już chciałem wyjść z mojéj kryjówki, i na wszystko się ośmielić, aby ją tylko uratować....

MAŁGORZATA. Pani, kochana pani!.... odpowiedz mi przecie! — HRABIA. Ach! jakże wiele mam sobie do wyrzucenia! — CLERMONDE, *zwracając piękne swe oczy ku hrabiemu de la Touche, i podnosząc głos z wysileniem jak gdyby konająca.* Małgorzato! — MAŁGORZATA, *pośpiésznie z zupełną ufnością?* Pani? — CLERMONDE, *przyciągając do siebie Małgorzatę, i mówiąc jéj do ucha zwyczajnym prawie głosem:* Weź ten kapelusz usz — usz!! — MAŁGORZATA *tracąc głowę i zapominając się.* Co? — HRABIA *do Małgorzaty.* O Boże! — Co ona mówi? — CLERMONDE *do Hrabiego, boleśnie podnosząc głowę na lewo.* Mój flakonik.... tam.... na stoliczku. *Do Małgorzaty obracając szybko głowę w prawo.* Weź ten kapelusz!.... ten kapelusz.... pod kanapę. — MAŁGORZATA *pojmując.* Ach!

I ja zrozumiałem także, i gniéwałem się na nią, gniéwałem się na siebie. Zmusić mnie chować się! Tak odgrywać komedyą! Pan de la Touche był prócz tego człowiekiem honorowym, młodym jeszcze nawet. Gdyby był wiedział! Nie pozwoliłby się na taką śmiészność wystawiać, dowiódł tego późniéj; lecz położenie było trudne, trzeba się było z niego wydobyć; przytomność umysłu panny Clermonde godna jest pochwały w tym przypadku, ponieważ nie skompromitowała nikogo: nasze położenie nie dozwalało nam wyboru.

Podczas gdy żałujący Hrabia szukał flakonika, Małgorzata szybko oddała kapelusz właścicielowi. Potém pod pozorem że powietrze było za gorące w tym pokoju, przeniesiono pannę Clermonde na ręku do buduaru, gdzie starała się zatrzymać kochanka, aby mnie same-

go pozostawić. — Uciekłem. — Któż pojmie jakowy jest urok w miłości sławnéj aktorki! Oprócz naturalnych swoich przymiotów, ileż przymiotów, pożycza od swéj sztuki! Ta kobiéta, która urozmaica codziennie powab stroju, blask piękności; która najrozmaitsze przybiéra odcienie; któréj fizyognomia nigdy do siebie nie jest podobną, i zawsze zyskuje pokazując się w nowym kształcie, nie jestże królową kochanek? Dodaj do tego talenta co przenikają serce i narzucają nań więzy. Jakże próżność, (bo i o niéj wspomnieć trzeba), jakże próżność obszerne dla siebie znajduje pole! O wi tysiączni rywale, co niby są widzami twego tryumfu, i zazdroszczą ci szczęścia; ów hołd każdodzienny który składa podziwienie publiczne.... jakże to podniéca! Dodaj teraz do zachwyceń namiętności, zachwycenie pychy; do wszystkich złudzeń miłości, przyłącz czarodziejstwo sztuki, a wówczas może zrozumiesz jéj potęgę! Każden głos niewieści jest wdzięczny i miły; lecz głos aktorki pieści, zachwyca, wzrusza, pociąga daleko bardziéj. A jeśli posłuszna poecie, przebiedz musi całą namiętną skalę wyrażeń miłosnych, skarb najurroczniejszych wyznań, na który byś tak długo w życiu pospolitém oczekiwał, a któregobyś nigdy w podobny nie usłyszał sposób... ach! cała dusza ludzka jest wówczas przenikniona, rozdrażniona, wszystkie upajające uczucia oblegają serce, nadewszystko gdy sam z nią jesteś na scenie, gdy i ty także odpowiadasz jéj wyrazami poety i duszą kochanka; gdy pośród tego tysiąca spojrzeń, twojego tylko szuka spojrzenia: gdy ciebie jedynie wzywa, gdy od ciebie jedynie natchnień pożycza! Położenie takowe czyni wielkim artystą, wzmaga talent.

(*Dalszy ciąg wyjątków nastąpi*).

WEJŚCIE NA OPERĘ

(*z dziennika le Voleur.*)

W Paryżu, gdy ma być dana reprezentacya obiecująca jakoweś zajęcie, bądź że sławny aktor wystąpić ma na scenę, bądź że nowa sztuka ma być graną, ciekawi jak najwcześniéj idą czekać przed teatrem: stawają po trzech w rzędzie, i następnie nowoprzybyli szykują się za temi co ich uprzedzić zdołali; nieznacz-

nie rozciąga się ten szereg i dochodzi do dwiestu kroków długości. Sznur ten ciekawych zowią *la queue*. Z dziwnych złożony jest żywiołów. Składa się po większéj części z parafianów; studenci także są w znacznéj liczbie: rzadko przytomni lekcyom swoich professorów, lecz zą to nie opuszczą żadnéj reprezentacyi.—Widać niekiedy i damy wśród tego ciekawego tłumu. Ma się rozumiéć że ludzi żyjących zwłasnego przemysłu jest natłok, gdyż podwójnym sposobem umieją ze zdarzenia korzystać, bądź macając po kieszeniach, i przyswajając sobie co im przydać się może, bądź sprzedając za wysoką cenę miejsce, które zajmują od samego rana. Łatwo poznać tych ichmościów po wywiędłéj twarzy, dwójznaczném ułożeniu, ukośnych i śledczych spojrzeniach.

Z tak różnorodnych złożony żywiołów sznur ten bynajmniéj nie jest hałaśnym: każdy tém tylko jest zajęty aby nie puszczać naprzód późniéj przybyłych; niektórzy oddawna do tego nazwyczajeni, skracają nudy czytaniem dzienników; inni wyśpiéwują nótę która ma być graną; tamto także najdziwniejsze zdania dają o oczekiwanéj sztuce.

Poza zakresem szeregu, ludzie trudniący się innym rodzajem przemysłu, tam i sam się przechodzą; piskliwy głos ich ciągle przez całe trzy godziny rozlega się temi słowy: „Oto *między-akt*, kto kupi *między-akt!* dziennik wszystkich teatrów, z nazwiskami aktorów, po dwa *sous*, panowie!" „Natrętne kucyki, nieustanne nalegania tych ludzi, są jedną z największych nieprzyjemności jakich się wówczas doznaje. Przepomniałem innéj nieprzyjemności równie niedogodnéj, to jest deszczu, który zimny, drobny, do rozpaczy przywodzący, przenika suknie, przesiąka obuwie; wiém iż powiecie że od tego są parasole; lecz prócz tego iż dzisiaj przyjęto aby były tak małe że ledwie głowę zasłonić mogą, odpowiedziałbym iż to nowa męczarnia trzymać je przez śmiertelne całe cztery godziny.

Wśród podobnych to nieprzyjemności przepędziłem już jednak dwie godziny, gdy jeden z przemysłowych ofiarował mi piérwsze miejsce za 10 franków. Z pośpiechem przyjąłem i idąc za przemysłowym wyręczyłem jednego z jego towarzyszy, stojącego już tam od rana, a który odszedł tak uradowany jak żołnierz gdy go z warty zluzują.

W godzinę późniéj poruszenie dało się uczuć w całym szeregu; wszyscy byli w oczekiwaniu: wzruszenie to wzniecilo przybycie oddziału żandarmów. Każdy z nich stanął na wyznaczoném sobie miejscu: postrzega to szereg, ściéśnia się, popycha, drzwi się mają otworzyć: nadchodzi *krytyczna* chwila, strzeż się pan, ktoś mi powiada, trzymaj się blisko muru, nie pozwól się wyprzedzić, oprzéj się nawalnemu potokowi.

Wierny ostrzeżeniu, opiéram się jak mogę napływającéj fali; otwierają wreszcie drzwi, wpadam, mniemam wchodzić do sali a znajduję się na obszernym kurytarzu. Obłąkany, idę na oślep

za temi co mnie poprzedzają, i widzę się .... pośród dwóch długich kobylic!

Oh! co to, to warte objaśnienia. Aby tłum nazbyt nie cisnął się do kassy gdzie rozdają bilety, wymyślono umieścić poprzecznie kobylice, tworzące wązkie i zakrętne przejście W tym labiryncie trzy osoby mogą zaledwie obok siebie postępować. W jednéj chwili już był zapełniony. Tu nowa półgodzinna stójka; teraz szereg całkiem pozor swój zmienił. Powiedziałem że na ulicy był spokojny i prawie milczący. Tutaj, czy to z niecierpliwości, czy dla tego że ciemno, stał się hałaśnym, namiętnym, kłótliwym: rosł jak burza, i o mało dwadzieścia razy w gniewie swoim wątłych nie skruszył zapor. Rozlegają się grubijańskie przycinki, gorżkie szyderstwa, boleśne skargi, i w osobliwszym jednoczą się hałasie. A że wszyscy ciekawi zbili się w nieprzebytą massę, biada temu co ma piersi delikatne lub w niedogodnéj stoi postawie; gdyż będzie musiał dźwigać cały nawał postępujących za nim, bez poruszenia, bez możności uniknienia téj męczarni. Bo im bardziéj wielkim i groźnym jest natłok, tym rozdawanie biletów odbywa się powolniéj i tém opieszaléj z miejsca ustępują. Wreszcie wszyscy co byli przedemną ostatnią zwalczyli zaporę; pędzę do okienka kassowego; lecz wysoki municypalista zatrzymuje mnie tak nagle, jak jeździec chcący wstrzymać narownego konia. Wyciągnięta przedemną jego ręka, i muszę stać nieporuszony, dopóki mu się niepodoba przejścia mi dozwolić. Drżąc wówczas z radości daję 3 franki 60 centimów za bilet parterowy; biegnę po wężowatych kurytarzach, błąkam się po schodach, znajduję wreszcie drzwi: — „Nie ma już miejsca z mojéj strony! — powiada mi lożmajstrzyna; idź pan na lewo.” — Jestem posłuszny jéj radzie. — „Nie ma już miejsca z mojéj strony! — powtarza mi lożmajstrzyna lewego skrzydła. — „Jakto, nie ma miejsca?.... przecież ja jestem jeden z piérwszych, a parter objąć może przeszło dwieście osób!.. „— Tak, ale cały prawie zastawiono krzesłami. a pozostające miejsca rozdane zostały pomiędzy przyjaciol aktorów!....”

Zawstydzony, lecz nierozpaczający, biegnę nazad co prędzéj do kassyera: — Proszę o bilet do krzesla? — Wszystkie są już wzięte. — To bilet na balkon? — Nie ma ani jednego. — To bilet na galeryą? — Także nie ma. — To choć bilet na paradyz? — Wszystkie wzięte.

Do najwyższego stopnia zawiedziony, oblany potem, szukam mojéj fularowéj chustki aby obetrzeć czoło i myśli rozjaśnić: lecz chustka zniknęła, a wraz z nią i lorneta. — Opuszczam operę, rozżarty że mnie oszukano, nakułakowano, wyśmiano, okradziono; żem porzucił moje zatrudnienie, nie stawił się na umówioną schadzkę, nie jadł obiadu, a jednak nie mógł zobaczyć Hugenotów. —

Uwaga. Portret mający dziś być dołączonym, dla nieprzewidzianych przeszkód przy Numerze 4tym łaskawym czytelnikom wydany zostanie.